

Tego dnia słońce chciało udowodnić, że lipiec nareszcie będzie inny niż we wcześniejszych latach. Panował nieznośny upał, który potęgował tylko wszechobecny niepokój. Ludzie mieli jak najgorsze przypuszczenia, co do ich dalszego losu. Nie wiedzieli tylko, kiedy to nastąpi.

Wszystko zaczęło się kilkadziesiąt lat temu, gdy zniesiono granice na Wielkim Kontynencie. Ta decyzja miała dobre strony, jednak ostatnie lata obfitowały w wiele wydarzeń. Nieistniejące granice przekraczała nie tylko ludność cywilna, ale również oddziały wojskowe tworzące formalne armie, a także pozbawione nadzoru grupy najemników. Te ostatnie budziły największy strach cywili, ponieważ jeden, wielki, wspólny rząd nie przyznawał się do nich. Byli bezkarni i stanowili ogromny problem, z którym nikt sobie nie radził. Bothan stał się kolejną, odległą prowincją, która po kilkudziesięciu latach kontynentalnej polityki zapragnęła znowu odzyskać autonomię. Domagających się tego mieszkańców uznano za buntowników, mimo, iż ustalenia sprzed lat dawały szansę niezależności każdemu z byłych krajów, który wchodził w skład Sojuszu Kontynentalnego. Teraz pozostało im tylko czekać na decyzję Wielkiej Rady...

Kobieta wyglądała przez okno w sypialni, które wychodziło na tyły zadbanego ogrodu. Słońce oślepiło ją, ale zdołała dostrzec sylwetkę swojego męża Lonana, ich przyjaciela Merritta i jego znajomej Dei. Stali w cieniu wielkiego orzecha i żywo dyskutowali. Wszyscy byli zaangażowani w przywrócenie autonomii prowincji. Mieli wielu sojuszników i ogromne poparcie ludzi zamieszkujących Bothan. Wrogowie jednak byli tuż obok. Czekali na ich decyzje gotowi błyskawicznie zareagować. Co z tego, że istniało prawo przywracające wolność i odrębność połączonych państw, skoro go nie przestrzegano? Bothanie byli nieugięci i mieli pewność, że podolają podjętemu wyzwaniu. Ich dziadkowie radzili sobie wcześniej ze swoim małym państwem, z którego byli dumni, więc oni również mieli w sobie tę wiarę. Wieki temu ich przodkowie stoczyli krwawe walki o wolność kraju. Wnukom ją odebrano i stali się prowincją. Potem kazano im ciężko pracować dla wiecznej chwały Wielkiej Rady. Bothan bowiem okazał się być zbyt cenny, żeby można było tak łatwo pozwolić mu na odrębność. A wszystko przez to, że na jego terenach znajdowały się bogate złoża czarnych diamentów. Polityka nigdy nie stoi za człowiekiem, zawsze jest przed nim. Bothanie wiedzieli o tym, aż za dobrze.

- Cario, zejdź do nas za chwilę – Lonan posłał żonie ciepły uśmiech i szybko zniknął za drzwiami. – Tylko zabierz coś ciepłego!

Kobieta wyciągnęła z szafy wełniany szal w malinowym kolorze i zarzuciła go na letnią sukienkę. Zeszła schodami do piwnicy, w której trzymali wino. Tam też spotykali się na tajnych naradach.

- Wróciłem właśnie ze spotkania z lokalnymi władzami, które nas popierają – zaczął spokojnie Merritt, choć w jego głosie czaił się smutek i niepokój. – Nie mam jednak dla was dobrych wieści, przyjaciele. Rada kategorycznie odmawia nam prawa do autonomii, powołując się na jakieś nieistniejące poprawki w Kontynentalnej Konstytucji. Sprawdziliśmy to dokładnie – mylą się.

- Możemy się przecież odwołać – Dea poprawiła swoje kruczoczarne włosy. – Już nie raz to robiliśmy.

- Nie tym razem, Deo – Lonan westchnął ciężko. – Doszły nas słuchy, że jeśli nie zaprzestaniemy działań to Wielka Rada podejmie poważne decyzje, które przywrócą spokój prowincji.

- Jakie decyzje? – zapytała Caria, choć właściwie знаła odpowiedź.

- Militarne – mężczyzna z niepokojem przypatrywał się ukochanej. – Wiemy to z pewnego źródła.

- Pewnie tylko chcą nas postraszyć! – Dea roześmiała się głośno. – Nie mogą nas zaatakować! To wbrew Kontynentalnej Konstytucji!

- Utrudnianie odzyskania niepodległości również jest wbrew temu, co tam zapisano, a jednak tak się dzieje – Caria posłała jej pełne wyrzutu spojrzenie. Nie lubiła tej zbyt pewnej siebie kobiety. – Sytuacja staje się coraz poważniejsza. Jeśli inne prowincje głośno nas nie poprą nie mamy szans!

- Chcecie podjąć otwartą walkę? – Dea nie spodziewała się takiego obrotu sprawy. – Nie wygramy z nimi!

- Nikt nie powiedział, że odzyskanie suwerenności jest łatwe – skwitował Lonan, nasłuchując uważnie. Potem wyjął metalową tubę na dokumenty ze skrytki, którą zrobił pod stojakiem na wino. – Tutaj są dane naszych sojuszników. Skorzystamy z ich pomocy dopiero w ostateczności. Ich nazwiska poznacie dopiero po dzisiejszej naradzie.

- Słyszycie? – Caria zaniepokoiła się ujadaniem psów. – Trzeba to sprawdzić.

- Kochanie, zostań i pilnuj list! – mężczyzna podał jej tubę. – Jeśli coś będzie nie tak wiesz, co należy zrobić. Wy chodźcie ze mną.

Szybko opuścili piwnicę. Caria domknęła pokrywę, gdy nagle usłyszała hałas na schodach. Lonan wpadł zdyszany do środka. W jego oczach pojawił się strach.

- Najemnicy! Spal listy i wyjdź na zewnątrz. Zatrzymamy ich przez chwilę. – mężczyzna zadrżał, gdy całował żonę. – Biegnij!

Caria pobiegła do salonu, gdzie znajdował się kominek. Wrzuciła listy do paleniska i drżącymi dłońmi zapalała przygotowane wcześniej zapałki. Dokumenty spłonęły w oka mgnienia dzięki wcześniejszemu nasączeniu papieru specjalnym środkiem. Pustą tubę rzuciła na fotel i przykryła szalem. Dłonie wytarła w sukienkę i wyszła do ogrodu. Jej twarz wyrażała spokój. Doskonale maskowała emocje.

- No proszę, jeszcze ktoś nas odwiedził – surowy głos dobiegający z prawej strony natychmiast kazał jej się odwrócić. Musiała jednak osłonić oczy przed słońcem, by zobaczyć rozmówcę. – Witaj, Cario.

- Kim pan jest? – zapytała, udając jak największą obojętność na widok mężczyzny, który należał do jej przeszłości. Szukała wzrokiem męża. Dostrzegła go pod drzewem razem z Merritem i Deą. Otaczała ich grupa uzbrojonych i ubranych na czarno mężczyzn. – Kim są ci ludzie? Weszliście na prywatny teren.

- Tyle pytań naraz – zaśmiał się. - A od zadawania pytań jestem tutaj ja. Zapamiętaj to sobie. Teraz moja kolej. Jestem Rafer, – podszedł bliżej do niej i spojrzał głęboko w oczy – a wy jesteście buntownikami i na dodatek zostaliście zdradzeni...

- To nieprawda! – Dea spojrzała na niego hardo. – Nie jesteśmy buntownikami! Nie macie prawa!

- Przestań! – szepnął do niej Lonan pojmując wszystko w jednej chwili. – Nic już nie mów...

Rafer posłał jej pełne pogardy spojrzenie, które wszyscy dostrzegli. Podszedł bliżej i strzelił. Dziewczyna upadła. Nie żyła. Caria była w takim szoku, że przez chwilę nie mogła oddychać. Lonan i Merritt patrzyli na powiększającą się kałużę krwi, która powoli rozlewała się w stronę ich stóp. Nawet nie drgnęli.

- Nie znoszę zdrajców – powiedział to spokojnie odwracając się tyłem do martwej dziewczyny. – To był wasz bardzo słaby punkt. A teraz przejdźmy do konkretów. Blane?

Dopiero teraz zorientowali się, że z najemnikami jest ktoś jeszcze. Mężczyzna skrył się w cieniu wierzby i obserwował ich od samego początku. Powoli podszedł do dowódcy i spokojnie oczekiwał na rozkazy. Blane dorównywał Raferowi wzrostem. Jedyne, co ich różniło, to oczy. Caria wiedziała, że ten tajemniczy mężczyzna jest zawodowym zabójcą. Wzbudzał w niej ogromny strach, nad którym z trudem panowała.

- Może od ciebie się czegoś dowiem – dowódca posłał mu uśmiech pełen jawnej niechęci.

- Jak sobie życzysz – chwycił dziewczynę za nadgarstki, przyciągnął do swojej twarzy, a potem powąchał. – To ona spaliła dokumenty. Nie mam żadnych wątpliwości.

Lonan miał ochotę rzucić się na mężczyznę i rozszarpać go na strzępy, widząc jak brutalnie zachowuje się w stosunku do Carii. Powstrzymał go Merritt i błagalne spojrzenie żony. Musiał posłuchać, ale pragnął, żeby to na nim skupił uwagę ten najemnik, a nie na jego ukochanej. Był pewien, że następnym razem nikt i nic go nie powstrzyma.

- Zabierzcie ją! – Rafer przywołał do siebie dwóch żołnierzy, którzy błyskawicznie otoczyli Carię i kazali jej iść w stronę zaparkowanego przed domem samochodu. – A ty, pilnuj jej dopóki nie przyjdę – zwrócił się do Blane'a, który odchodził, nie zaszczycając nawet spojrzeniem dowódcy.

Lonan próbował się wyszarpać z mocnego uścisku Merritta, ale nie miał szans. W końcu opadł na kolana. Czuł się bezsilny.

- Posłuchajcie mnie uważnie – warknął cicho Rafer, gdy wszyscy odeszli. – Nie skrzywdzę jej, ale macie czas do jutra, do południa, by wycofać się z waszych planów odzyskania autonomii. Zaczekacie z działaniami...

- Ale... – Merritt spojrział w zimne oczy mężczyzny i zrozumiał, że to nie żarty.

- Zapłacę! – Lonan podniósł się z trudem i spojrział na Rafera. – Oddam wszystko, co mam, tylko ją wypuść!

- Zastanowię się nad tym – odparł tamten. - Macie czas do jutra. Blane tylko czeka, żeby zająć się twoją uroczą żoną.

- Jeśli coś jej się stanie nie daruję wam, choćbym miał zginąć! – wysyczał złowrogo Lonan. – Zapamiętaj moje słowa.

- Przekażę mu...

Carię odprowadzały przerażone spojrzenia sąsiadów, znajomych i całkiem obcych jej ludzi, do których błyskawicznie dotarła wiadomość o pojmaniu jednej z aktywnie działających na rzecz odzyskania niepodległości. Ich spojrzenia wyrażały mnóstwo emocji. Jedni patrzyli na nią jak na bohaterkę, od innych biła pogarda. Jednak większość była zrozpaczona i gotowa zrezygnować z autonomii. Kobieta szła spokojnie. Nie chciała, żeby ci ludzie stracili przez nią nadzieję. Wtedy wszystko poszłoby na marne. Wystarczyło, że ją samą przepelniało przerażenie, gdy tylko spojrziała na potężne plecy Blane'a. Wiedziała, że jest śmiertelnie niebezpieczny, a w konfrontacji z nim nie miała żadnych szans.

Od dawna zastanawiała się, kto kupił ogromny kompleks parkowy z wybudowanym pośrodku dworkiem. Gdy przejechali przez strzeżoną bramę znalazła już odpowiedź. To właśnie tu przywieźli ją najemnicy. Pamiętała to miejsce z dzieciństwa. Wokół nic się nie zmieniło. Zachowano całą zieleń, która dodawała temu miejscu niezwykłego uroku. Z jednym małym wyjątkiem - brakowało zwiedzających - rodzin z dziećmi, zakochanych par, dziadków z wnukami i samotnych spacerowiczów. Na ich miejscu pojawili się ubrani na czarno mężczyźni o surowych twarzach, obwieszeni bronią. Towarzyszyły im nad podziw spokojne psy.

- Blane, zaprowadź ją do jednego z pokoi na tyłach domu – rozkazał dowódca, nie spoglądając nawet na Carię. – I nie waż się dotknąć jej przede mną – rzucił ostro.

Najemnik skuł kobiecie ręce, nie wykazując przy tym ani cienia delikatności. Poszedł przodem, a za nim Caria i jeszcze dwóch żołnierzy. Szybko przebyli pachnące przeszłością korytarze, w których dominował teraz mocny zapach mężczyzn.

W pokoju było jasno, pusto, ale czysto. Jedyńą jego ozdobą był nieczynny teraz kominek. Promienie słońca wpadające przez dwa okna dodawały temu miejscu odrobiny ciepła.

Caria nieruchomo stała na środku, wpatrując się w mężczyznę o spojrzeniu tak złym, że aż odbierało jej oddech. Nie mogła pojąć jak można mieć tak mroczne oczy? Kiedy Blane zaczął krążyć wokół, zastygła bez ruchu. Bała się sprowokować go do jakiegokolwiek działania. Nie wiedziała, kiedy znalazł się tuż przed nią. Czuła jego zmysłowy zapach. Nagle lewą ręką chwycił ją w pasie i zdecydowanym ruchem przyciągnął do siebie. Prawą dłonią dotknął policzka.

- Jesteś przerażona, Cario – powiedział cichym, wibrującym głosem. – Czego się boisz? Chyba nie mnie? Nie doczekawszy się odpowiedzi jeszcze mocniej przycisnął ją do swego ciała. Teraz mogła wyczuć miarowe bicie jego serca. Skute ręce boleśnie dały o sobie znać.

- Boję się... – szepnęła próbując utrzymać równowagę. Wiedziała, że Blane trzyma ją pewnie i nie wypuści. Chyba, że zechce. – Sprawiasz mi ból...

- Ból? – zaśmiał się cicho. – Ty nie wiesz jeszcze co to ból, moja droga buntowniczo. Pokażę ci dopiero jego prawdziwe oblicze!

- Nie wątpię – niespodziewanie dla siebie samej warknęła ostro, choć wiedziała, że igra właśnie ze śmiertelnie niebezpiecznym przeciwnikiem. – Ale może zaczekasz na swoją kolej?

Spojrzał na nią z cynicznym uśmiechem na ustach. Caria dostrzegła jeszcze szybko gasnącą iskierkę furii. Trafiła w jego czuły punkt.

- Rafer zabawi się z tobą ostro – powoli ją puszczał. – Ostro, ale skutecznie. Ja będę delikatny.

- Naprawdę?! – zaśmiała się szczerze rozbawiona. Nie wierzyła mu. – Ale jeśli tak będzie, to wolę towarzystwo Rafera!

Mężczyzna zmarszczył leciutko brwi, a potem uśmiechnął się szeroko, ukazując białe, równe zęby. Caria była buntowniczką z poczuciem humoru, ale zdawała sobie sprawę z położenia. Teraz próbowała odwlec nieuniknione. Podobała mu się.

- Czyżbyś była tak ostra jak twoje słowa? – podszedł bliżej. – Twój mąż to szczęściarz.

- Rozkuj mnie, a pokażę ci jak ostra jestem – rzuciła szyderczo. – Chyba, że się boisz...

Zaśmiał się złowrogo. Już nie miał ochoty być dla niej miły.

- Stań pod ścianą – rozkazał.

- Chcesz mnie zastrzelić? – uśmiechnęła się. Miała pewność, że tego akurat nie zrobi. – Szkoda białych ścian.

- Nie, nie zastrzelę cię – powiedział spokojnie. – Nigdy nie miałem zamiaru tak z tobą postąpić. Zrobisz, co każę, czy mam cię sam pod nią postawić?

- Jeśli chcesz... – zabrakło jej tchu, gdy Blane nagle pchnął ją w kierunku najbliższej ściany i przycisnął do niej swoim ciałem.

- Wolisz tak, Cario? – napał mocniej na nią, aż krzyknęła z bólu. – A może chcesz czegoś specjalnego?!

- O tak! – wydyszała próbując znaleźć jak najmniej bolesną pozycję. – Mam nadzieję, że Rafer będzie bardziej męski...

Blane chwycił ją za ramię i popchnął na środek pokoju. Caria upadła na lewy bok i boleśnie otarła nadgarstki. Na szczęście nic sobie nie złamała. Nie zdążyła nawet wstać, gdy mężczyzna błyskawicznie znalazł się przy niej i podniósł bez żadnego wysiłku. Była dużo niższa od niego i musiała unieść głowę, by spojrzeć w jego pozbawioną współczucia twarz.

- Rozkuję cię, słodka Cario, ale najpierw dokładnie przeszukam! – odwrócił ją tyłem do siebie. – Jesteś jak półdzika kotka. Niby obcujesz z ludźmi, ale tak naprawdę wolisz ich zdominować, niż im się poddać. Pochylił się i zaczął sunąć palcami po nagich ramionach, a potem chwycił ją w tali i mocniej napał na smukłe ciało. Jego ręce gładziły teraz szyję, dekol, piersi i schodziły niżej. Caria wstrzymała oddech, gdy silna dłoń spoczęła na jej brzuchu i delikatnie go pieściła.

- Przestań! – krzyknęła, gdy poczuła jak podciąga do góry jej zwiewną sukienkę. – Zostaw mnie!

- Milcz! – dłonie gładziły teraz nagie ciało kobiety. – Obiecałem ci delikatność!

- Wolę Rafera! – krzyknęła ostatkiem sił.

- Do usług – zimny głos dotarł do ich uszu jak lodowa strzała i zmroził oboje. – Blane, ja dokończę.

- Zostaw coś dla mnie – warknął tamten, wychodząc posłusznie, choć tak naprawdę miał ochotę skoczyć dowódcy do gardła i rozszarpać je.

Rafer nic więcej nie mówiąc pociągnął za sobą Carię do piwnicy, gdzie nikt im nie mógł przeszkodzić. Nie zważał na jęki kobiety, która próbowała zachować równowagę na śliskich schodach. Mijani najemnicy nie zwracali na nią żadnej uwagi, za to dowódcy salutowali z szacunkiem. Zaraz też wychodzili z podziemi, wiedząc, że ich szef nie lubi, gdy mu się przeszkadza. Kiedy dotarli na miejsce, Rafer wepchnął ją do środka. Sam wszedł dopiero wtedy, gdy upewnił się, że nikogo nie ma w pobliżu. Starannie zaryglował drzwi i zapalił światło.

Kobieta była zdumiona, gdy bliżej przyjrzała się wnętrzu. Pokój nie był duży, ale panował w nim porządek i pachniało czystością. W rogu stało spore łóżko, obok podniszczona komoda, na środku mały stół i dwa krzesła. Po prawej stronie znajdowały się zamknięte drzwi. Było tu cicho i całkiem ciepło.

- Jestem do twoich usług, skoro wolisz mnie od Blane'a – odezwał się w końcu swobodnie. – Dlaczego wolisz mnie od niego? Obiecał być delikatny.
 - Kłamał i dobrze o tym wiesz – szepnęła cicho. – Ty może i jesteś zły, ale znam cię. Jeśli tego właśnie chcesz, to zrób to... Zawsze chciałeś...
 - Czego chciałem? – zapytał podchodząc bliżej.
 - Mnie – zadrżała, gdy dotknął jej ramienia i zsunął dłoń niżej. – Tylko błagam cię, nie oddawaj mnie temu potworowi!
- Objął ją mocno i zdjął kajdanki. Potem przeniósł na łóżko i długo tulił. Masował nadgarstki i ocierał łzy sunące po policzkach. Gdy już uspokoiła się na tyle, by zostać sama zniknął za tajemniczymi drzwiami i wrócił ze szklanką wody.
- Wypij to, proszę – przysiadł obok i delikatnie gładził jej łydkę. – Może jesteś głodna?
 - Nie, dziękuję – spojrzała w jego oczy, które teraz patrzyły zupełnie inaczej, niż kilka chwil wcześniej. Nie było już gniewu i okrucieństwa. Ich miejsce zajęły troska i czułość. – Proszę, obiecaj mi...
 - Nie bój się, Cario – pocałował ją delikatnie w usta. – Blane już nigdy cię nie dotknie. Ja również...
 - Ale sam mówiłeś, że...
 - Tylko, jeśli sama zechcesz, moja droga – powiedział, uśmiechając się figlarnie. – Masz jednak męża. Jest dla ciebie dobry?
 - Tak – szepnęła, trzymając jego dłoń w swoich. – Dlaczego mi pomogłeś?
 - Spłacam swój dług, pamiętasz? Kiedy byliśmy w szkole średniej uratowałaś mi życie. Nie zdołałem ci się odwdziaczyć, aż do teraz.
 - Każdy na moim miejscu zrobiłby to samo – przypomniała sobie wydarzenia sprzed kilku lat. – Tyle czasu się nie widzieliśmy. A teraz jesteś najemnikiem. Stoimy po przeciwnych stronach...
 - Czyżby? – posłał jej uważne spojrzenie. – Owszem, jestem najemnikiem, ale cały mój oddział chce wam pomóc.
 - Cały?! – kobieta nie dowierzała tym słowom. – A Blane?
 - I tu pojawia się pewien problem – westchnął ciężko. – Blane jest synem jednego z wysoko postawionych urzędników przy Wielkiej Radzie. Jego ojciec blokuje wasze dokumenty i to on nas tu przysłał.
 - Musisz nas zabić?
 - Tak, a potem przywrócić spokój w tej prowincji. Tylko, że ja tego nie zrobię.
 - Jak to? – zdumiała się.
 - Nie mam ochoty pozbywać się was, a już najbardziej ciebie – uśmiechnął się przyjaźnie. – Pomogę wam i wreszcie Bothan odzyska niepodległość.
 - Zapomniałeś o ty potworze?!
 - Jakoś tak wyszło. Zresztą Blane już nie żyje.
 - Co?!
 - Został zabity przez niezrównoważoną psychicznie kobietę, która potem skoczyła z mostu do rzeki. Jej ciała nie odnaleziono. Świadców już składają zeznania.
 - Co ty mówisz?! – szepnęła przerażona. – Niemożliwe, by ktoś go pokonał! Jacy świadkowie?!
 - Cario, Blane nie żyje - pogładził jej ramię. - Lepiej, żebyś nie znała szczegółów. Jego ojciec już tu jedzie, by zidentyfikować ciało syna. W tym czasie wasz projekt dotyczący odzyskania niepodległości zostanie zatwierdzony przez Wielką Radę.
 - Tak po prostu?
 - Tak. Rada ma już dość skarg, które masowo otrzymuje ze wszystkich prowincji – oparł się o ścianę. – Wieczne pretensje niezadowolonych obywateli, którym obrzydł już Sojusz Kontynentalny pozbawiły ich cierpliwości. Wolą wrócić do dawnych rządów. Granice nadal pozostaną wspólne, waluta także. Nie znam wszystkich szczegółów, ale wiem, że znowu jest szansa na odzyskanie pokoju i suwerenności.

- Dlaczego temu człowiekowi tak zależało na tym, żebyśmy nadal pozostali prowincją?
- Czarne diamenty. Ojciec Brana miał udziały w tutejszych kopalniach i czerpał z tego zyski. Chciał je przejąć na własność, ale zarząd się nie zgodził. Wprawdzie nadal będzie czerpał korzyści z udziałów nawet, gdy odzyskamy niepodległość, ale nie zostanie właścicielem – wyjaśnił.
- Teraz wszystko rozumiem.
- Na pewno czeka nas jakaś potyczka z jego oddziałem najemników, ale jesteśmy przygotowani.
- Dlaczego to robisz? – zapytała.
- To jest mój świat, mój kraj. Zresztą chciałem wam pomóc, bo nikt inny nie był chętny – odparł spokojnie.
- Wierzysz, że nam się uda?
- Oczywiście. Skoro nasi dziadkowie i pradziadkowie radzili sobie z rządem, to nam też się powiedzie – objął ją delikatnie. – Przyszłość tego kraju leży w naszych rękach. Pytanie tylko, czy staniesz u mego boku?
- Nie przy tobie, ale bardzo blisko ciebie, Raferze - Caria pocałowała go czule i pogładziła po policzku. – Teraz to ja jestem twoją dłużniczką.
- Teraz jesteśmy kwita – odparł łagodnie.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Elatha, dodano 25.09.2011 09:48

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.